

PRÓBA MIŁOŚCI

MIROSŁAWA
KARETA

PRÓBA
MIŁOŚCI

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2019
© Mirosława Kareta-Gala, 2019

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz
Redakcja: Anna Śledzikowska
Korekta: Katarzyna Onderka
Projekt okładki: Dominik Wicher
Zdjęcie na okładce: © faestock, Malivan_Iuliia, ltummy, RAndrei / Shutterstock
Skład: Lucyna Sterczewska

Postaci i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne.
Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób
lub zdarzeń jest przypadkowe i niezamierzone.

ISBN 978-83-277-2068-9

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk: SKLENIARZ • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

~ I ~

Dawno, dawno temu w małym domku pod lasem żyli sobie mąż i żona wraz z trzema synami: Tadzikiem, Kazikiem i Jerzykiem. Dwaj starsi bracia byli mądrzy i piękni, najmłodsze- go zaś wszyscy nazywali Głuptaskiem. Martwili się rodzice, co z niego wyrośnie, bo nawet dobrze wysłować się nie umiał. Ludziska kiwali głowami, a za plecami śmiali się z niego, no bo co myśleć o takim, co to każdemu wierzy i odda niezna- memu ostatnią koszulę? Nie robili mu jednak krzywdy, gdyż był dobry i pocziwy, cieszył się z byle czego, a i innych swoją naiwnością rozweselał.

Pewnego razu ojciec przyłapał chłopca na kradzieży drzewa z lasu.

– Poczekaj ty! – krzyczał, prowadząc go do piwniczki, gdzie zamierzał zamknąć winowajcę. – Zaraz zawołam po- licję! Już ty z karceru prędko nie wyjdiesz!

Starsi bracia wrócili właśnie ze szkoły. Patrzyli z dumą na ojca, który był wielki i groźny, nosił zielony mundur i miał długą strzelbę. Pilnował porządku w lesie i wszyscy się go bali. Ale trzeci syn, który do szkoły nie chodził, tylko całymi dnia- mi siedział na przyzbie i muchy łapał, poderwał się z miejsca.

– Zlituj się, tatulu! – zawołał, zachodząc mu drogę.

Nieskładnie to wypadło, bo jak zawsze język mu się płą- tał. Ale ojciec, który od dawna uczył się tej dziwnej mowy Głuptaska, zrozumiał go.

– Prawo jest prawem! – powiedział surowo, kładąc rękę na ramieniu najmłodszego syna. – Kto je łamie, musi ponieść karę. Ty też to wreszcie pojmij!

Starsi bracia potaknęli. Nie tylko w domu, ale także w szkole dyscypliną ich uczono, że trzeba przestrzegać zasad. Nieraz ich od tej nauki tyłki i ręce bolały.

– Zlituj się, tatulu! – prosił jednak Głuptasek. Uczył się powoli i trzeba mu było wszystko wielokrotnie powtarzać. – Przecież on nie ma pracy, a w chałupie szóstka dzieci do wykarmienia!

– Prawo jest prawem! – powiedział jeszcze raz leśniczy, choć już mu zaczynało brakować cierpliwości. – Odstąp, synu!

Głuptasek jednak nie odstąpił, zaczął błagać jeszcze goręcej:

– Zima idzie, czy on ma pozwolić, żeby mu dzieciśka pozamarzały? Ty byś pozwolił, tatulu?!

Zawahał się ojciec na chwilę, zamyślił. Starsi bracia przyglądali się mu bez słowa. Nawet matka stanęła w progu domu i słucha, co też się będzie działo.

Widzi ojciec, że sprawa jest poważna, bo nie tylko jego, ale honor całego państwa leży na szali. Poprawił skórzany pas i z powagą rzecze:

– Prawo jest prawem, jeszcze raz ci powiadam. Może to kiedyś i ty zrozumiesz, Głuptasku, choć brak mi już nadziei! Ten człowiek musi zapłacić za kradzież, której się dopuścił.

Na to Głuptasek rzucił się ojcu do kolan.

– Zlituj się, tatulu! – zaczął zawodzić, a ściszał mu nogi tak mocno, że się leśniczy nie mógł na krok ruszyć. – Puść biedaka do domu!

Szarpnął się ojciec, a kiedy to nie pomogło, zamachnął się na syna. Rękę zaś miał ciężką i twardą.

– Uciekaj! – krzyknął Głuptasek do chłopca, który stał z rozwartą gębą.

Ten jednak nie rozumiał i nawet do głowy mu nie przyszło uciekać.

Starsi bracia, widząc, że się ojciec bierze do bicia, rzucili swoje kajety i podbiegli do niego.

– Zostaw Głuptaska! – zawołali, wieszając się obaj u ojcowskiej prawicy. – Nie widzisz, że on nic nie pojmuje?!

– Daruj Wasylowi! – poprosiła żona, która też przybiegła ratować Głuptaska. – Wiele drzewa w lesie nie ubyło, państwo nasze przez to nie zbiednieje, a oni mogli się chociaż ogrzać!

Ojciec poszarpał się jeszcze trochę, pokrzyczał, ale wreszcie się poddał.

– No, puszczajcie już! – mruknął, lewą ręką przyglądając nastroszone wąsy. – Zlituję się, ale tak dalej nie może być! Kłusownictwo i złodziejstwo się panoszą, co dzień widzę w lesie ślady działalności takich jak on! Państwo może nie zbiednieje, ale motłoch trzeba uczyć porządku i poszanowania prawa!

A gdy już go puścili i stanęli z boku, uwolnił skrępowane ręce Wasyla i pogroził mu palcem.

– Żeby mi to było ostatni raz! Jak cię znowu przyłapię, długo nie wyjdiesz z paki!

Raz jeszcze przyglądził wąsy, poprawił broń na ramieniu i wrócił do lasu. Żona wzięła się w kuchni za szykowanie wieczerzy, starsi bracia pozbierali zeszyty i poszli ćwiczyć kaligrafię. Głuptasek usiadł na przyzbie zadowolony i zaśmiał się

w stronę nieba, że takie niebieskie. A Wasyl poszedł ścieżką przez las do swej chałupy. Ze wzrokiem wbitym w ziemię dumiał, jak to zrobić następnym razem, żeby się nie dać przyłapać.



Nie minęło wiele czasu, przeszła jesień, po niej nastąpiła mroźna zima, a potem seledynowa wiosna. Na przednówku wiele małych kopczyków usypano na cmentarzach koło cerkwi i miejscowego kościoła. Złożono tam także najmłodsze dziecko Wasyla. Odbiło się to po cichu i bez łez, bo dziecina od początku była mała i słaba, a Wasylowa kobieta piersi miała puste. Jak mogła wykarmić maleństwo, gadali ludzie, skoro sama ledwie się na nogach trzymała?

Gdy zieleń na drzewach i miedzach nabrała soczystości, w domku leśniczego Józefa na świat przyszła dziewczynka – oczka miała jak jagódki, a usteczka jak maliny. Bracia zachwycili się maleństwem i od razu nadali siostrzyczce imię – Rozalka. Sami przez długie miesiące urosli i jeszcze wypiękniali, policzki mieli rumiane od biegania po lesie, a mięśnie mocne od rąbania drewna i noszenia wody ze studni. Głuptasek także wybujał tego lata i dorównywał im już wzrostem, do pracy się jednak nie nadawał. Całymi dniami leżał tylko na przypiecku, śmiał się do siostry i podjadał to, co matka uwarzyła dla starszych synów i męża.

Gdy lato miało się ku końcowi, a z nieba na ziemię wciąż lał się żar, leśniczy włożył inny mundur, pożegnał żonę i dzieci i poszedł do wojska. Powołano też kilku chłopów z pobliskiej wioski. Wojna wisiała na włosku, a jednak nikt nie

wierzył, że wybuchnie. Aż tu nagle pierwszego dnia września niebo zasnuły smugi dymu, a horyzont rozświetliły łuny pożarów. Obok leśniczówki przechodzili ludzie z karabinami na plecach, kłusowały konie, przetaczały się fury wiozące przerażonych uciekinierów i ich dobytek. Leśniczyna częstowała utrudzonych chlebem, a dla dzieci miała po kubeczku mleka. Jej synowie uwijali się po obejściu, czerpali wodę ze studni, darli prześcieradła w długie pasy i pomagali opatrywać krwawiące rany. Wszyscy z przerażeniem patrzyli w przyszłość, przeczuwając, że świat, który znali, właśnie się kończy. Tylko Głuptasek radośnie witał gości i zagadywał do nich po swojemu. Gdy odchodzili, beztrząsco machał im na pożegnanie.

A potem na niebie i na ziemi nastała cisza. Z tego samego lasu zaczęły wychodzić inni żołnierze, z naszytymi na czapkach czerwonymi gwiazdkami, z karabinami zawieszonymi na parczanych sznurkach i wygłodniałymi oczami. Przed nimi leśniczyna zamknęła chatę na głucho, córce do buzi wsadziła smoczek-pypkę, a synom kazała się schować w piwniczce.

Żołnierze przyszli i poszli, ale na okolicę padł błady strach. Znowu zaczęły się pożary, teraz jednak płonęły już tylko niektóre domy i obejścia. Dziedzice ze dworów uciekali do miast. W lasach znajdowano ograbione i okaleczone trupy żołnierzy. Chłopi, którzy już bez mundurów wracali cichcem do swych chałup, opowiadali straszne rzeczy. Władzę przejmowały wszędzie tymczasowe komitety, które zaczęły zaprowadzać nowe porządki. We wsi pod lasem pojawili się bracia Murienko, znani w całym powiecie zabijacy i opoję. Zgromadzili grupę podobnych sobie i utworzyli komitet włościański. Mówili, że wreszcie nastała sprawiedliwość.

Leśniczy długo nie wracał z wojny. Jego rodzina nie otwierała drzwi nikomu, bo nie wiadomo już było, kto z sąsiadów jest wrogiem, a kto przyjacielem. Tylko Głuptasek, jak to on, nadal rwał się do każdego człowieka. Kiedy miał zostać sam w domu, leśniczyna musiała go zamykać w piwniczce. Był wtedy bardzo nieszczęśliwy i zawodził niskim głosem, jak przywiązany u budy pies.

– Nie płacz, Głuptasku – tłumaczyli mu matka i bracia. – Siedź tu cicho i pilnuj drzwi!

Wtedy chłopak przestawał płakać, patrzył tylko w zbite z ciężkich, dębowych desek wrota – i pilnował.

Tak przeczekali w strachu kilka tygodni, aż wreszcie jednego wieczoru rozległo się w izbie ciche pukanie. Rodzina przycisnęła się w mroku, czekając, aż przybysz sobie pójdzie. Ale pukanie powtórzyło się. A potem w oknie kuchni ukazała się brodata, wymizerowana, obca twarz.

– Otwórzcie, to ja! – zawołał znajomy głos i wtedy już nikt nie zdołał powstrzymać Głuptaska, który rzucił się odsuwać rygiel.

Nazajutrz leśniczy ogolił się i włożył swój stary zielony mundur, o dwa numery już na niego za obszerny. Nie dawał mu on jednak żadnej władzy, ani nawet ochrony. Wkrótce pojawili się pod leśniczówką nowi panowie z komitetu włościańskiego. Mieli konie i strzelby, przyświecali sobie pochodniami, dowódca zaś w jednej ręce trzymał jakiś papier, a w drugiej zwój sznura.

– Otwierać! – zażądali, gdy leśniczy wycelował do nich przez okno ze swojej dwururki. – Nie stawiajcie oporu, Józefie, to ocalicie przynajmniej rodzinę!

Zawahał się leśniczy, ręce mu zadrżały. Popatrzył na żonę tulącą do piersi niemowlę, na trzech niedorostków, w których oczach czaił się strach. Potem znów spojrzał w mrok za oknem, policzył ludzkie sylwetki, oblane pomarańczowym blaskiem pochodni.

– Wychodzić, bo was dymem wykurzymy! – zawołał jeszcze raz jeden z Murienków.

Wtedy leśniczy podjął decyzję. Odłożył strzelbę, przytulił na chwilę żonę i dzieci.

– Bywajcie z Bogiem – powiedział nieswoim głosem.

– Nie, Józus, nie wierz im! – krzyknęła przeraźliwie leśniczyna.

Ale on już otworzył drzwi i wyszedł przed dom akurat w chwili, gdy pierwsza głównia poszybowała w stronę dachu.

– Jezus, Maryjo! Gorze! – wrzasnęła leśniczyna.

Dwóch starszych synów, przez nikogo niepowstrzymywanych, rzuciło się do studni i po drabinę pożar gasić.

Leśniczego otoczyła zaś zwarta, pomrukująca wrogo ciżba. Wielu było takich, których w dawnych latach złapał na kradzieży drewna lub zakładaniu sideł, do niektórych nawet strzelał. Pamiętali mu to i teraz chcieli się zemścić. Murienko zarzucił mu na szyję pętlę ze sznura i pociągnął za sobą w stronę rosnących nieopodal drzew.

– Nu, Józefie, szykujcie się na śmierć!

Dwaj starsi synowie lejący wodę na dach, który już się zajął, nie dosłyszeli tych słów. Ale żona leśniczego krzyknęła straszliwie, jakby serce miało jej pęknąć, a mała Rozalka rozpłakała się w jej ramionach. Głuptasek dotąd stał tylko w progu, zaciskał ręce i mamrotał coś po swojemu, przyglądając się

zajściu, z którego nic nie rozumiał. Teraz rzucił się biegiem za odchodzącymi. Cała grupa doszła już do wielkiego orzecha za domem. Leśniczego podsadzono na siodło, Murienko odczytał coś po ukraińsku z papieru, który ze sobą przywiózł. I wtedy dopadł konia najmłodszy syn.

– Zostawcie tatula! – zawołał tak głośno, jak tylko potrafił. – Zlitujcie się, zostawcie nam tatula!

Jeźdźcy chcieli go odpędzić kopniakami i uderzeniami nahajek. Głuptasek upadł, ale podniósł się zaraz, i dalejże błagać, a zawodzić:

– Nie bierzcie tatula! Nie zabijajcie go!

I wtedy stała się dziwna rzecz. Jeden z mężczyzn, którzy otaczali drzewo, niespodziewanie zasłonił chłopaka przed gradem ciosów i wyzwisk.

– Pomyśl! – zwrócił się wprost do dowódcy. – On mi pomógł zeszłego roku, karę darował.

– Tobie pomógł? A ilu innych przez niego na zatracenie poszło?! – krzyknęli pozostali. – Na pohybel polskim panom, krwiopijcom! Pogonić konia!

– Tak?! No to podejdź tu który, spróbuj! – wrzasnął na to obrońca leśniczego i złapał za uzdę nerwowo podrygujące zwierzę. W drugiej garści ścisnął trzonek siekiery i toczył wokół groźnym spojrzeniem. – To nie polski pan!

– Ty, Wasyl! – zainteresował się Murienko. – A co ty tak go bronisz?

– Ja człowiek biedny, ale dumny! – odrzekł mu Wasyl hardo. Od ubiegłej jesieni zmienił się, wyprostował, nawet wąsy, zawsze obwisłe, teraz sterczały mu buńczucznie. – Swoje długi spłacam!

Murienko patrzył przez chwilę na Wasylą, mrużąc oczy, coś tam sobie kalkulował.

– Puście go! – zarządził wreszcie, a potem przyłożył pochodnię do kartki papieru. Płonący strzęp pofrunął nad głową Głuptaska w ciemny las.

Jeden z jeźdźców ściągnął leśniczemu pętlę z szyi i zepchnął go na ziemię. Mruczeli cicho, ale nikt nie śmiał przeciwstawić się Murience.

– Jeszcze się spotkamy! – Pokiwał głową watażka, ścisnął piętami boki konia i pokłusował do wsi. Inni ruszyli jego śladem.

Leśniczy z pomocą syna wstał z ziemi. Spojrzeli obaj na Wasylą, nie wiedząc, jak mu dziękować.

– Jesteśmy kwita – mruknął chłop i splunął im pod nogi. – Ale ja bym na twoim miejscu stąd zniknął. Drugi raz ci życia nie uratuję.

A potem odwrócił się i poszedł za tamtymi.

Kraków, poniedziałek, 25 maja 1992

Było wczesne majowe popołudnie. Wreszcie zawitała prawdziwa wiosna – niebo było czyste, a mlecz na Błoniach błyszczały w blasku słońca jak rozsypane bryłki złota. Mało kto jednak miał czas, by się temu przyglądać i zachwycać soczystymi barwami. Na Alejach Trzech Wieszców ruch już się zatrzymał. Tramwaje dzwoniły na tarasujące przejazd samochody, szczęśliwcy, którym udało się wyjść wcześniej z pracy, gnali przed siebie, by zdążyć na następny autobus lub

po zakupy. Tylko grupki młodzieży odreagowującej stres po maturze snuły się po ulicach bez celu, w poczuciu zupełnej beztroski.

Nikt nie zwracał uwagi na trzech mężczyzn, którzy szli wolno aleją Focha, odczytując numery na szarych, zaniedbanych domach. Zatrzymali się przy jednej z furtek, szepcząc coś z podnieceniem. Długą chwilę naradzali się, nim najstarszy zdecydował się nacisnąć dzwonek. Stali w milczeniu, spięci, w jakimś dziwnie uroczystym oczekiwaniu. Wreszcie drzwi z boku budynku otworzyły się. Ze środka wypłynęła najpierw chmura pyłu, a następnie wyrzała przyprószona białą głową mężczyzny w zgrabnym kapelusiku malarskim.

– Nikogo nie ma w domu! – zawołał wbrew oczywistej logice. – Proszę przyjść wieczorem!

Przybysze poruszyli się niespokojnie, wymienili uwagi w języku, który przyciągnął ciekawskie spojrzenie przechodzącej obok kobiety z ratlerkiem na smyczy. Nim jednak któryś zebrał się na odpowiedź, głowa mężczyzny wraz z kapelusikiem zniknęła, a drzwi się zatrasnęły. Chwilę potem, gdy trzech nieznajomi stali jeszcze przed domem, a kobieta przy sąsiedniej furcie przesadnie długo szukała kluczy w torebce, zerkając na nich podejrzliwie, we wnętrzu starej willi rozległ się ogłuszający łomot, a przez uchylone okno na parterze dały się słyszeć krzyki.

Nie porozumiewając się tym razem ani słowem, mężczyźni zrobili w tył zwrot i szybko pomaszerowali w kierunku, z którego przyszli. Wkrótce złali się z tłumem przechodniów kręcących się koło budek z hot dogami przy stadionie Cracovii.

Staszek Mróz stał w chmurze wirującego pyłu i w osłupieniu wpatrywał się w wyrwę w ścianie ziejącą tuż obok starego ceramicznego pionu kanalizacyjnego, który właśnie skończyli odkuwać. Jego współpracownik, ugodzony w stopę odłamkiem muru, miotał się na jednej nodze i klął na czym świat stoi. Po drugiej stronie otworu widać było przysypaną ceglany miałem lodówkę. Nie zważając na to, że naderwana ściana może lada chwila runąć, majster przelazł do kuchni, otworzył zamrażalnik, pogmerał chwilę w jego pokrytych szronem czeluściach, po czym wydobył woreczek z kawałkiem zamrożonego mięsa.

– Przyłóż! – poradził, podając go koledze.

Ściągnął następnie kapelutek i podrapał się z frasunkiem po szpakowatej czuprynie, która na skroniach przybrała teraz rudawy odcień.

Dobrze chociaż, że to nie on stawiał tę ściankę! Musiała powstać w końcu lat sześćdziesiątych, gdy Maksio założył rodzinę i zaszła konieczność urządzenia na dole drugiej łazienki dla starszych państwa. Z wielkiej kuchni wydzielono wówczas fragment bez okna i jakiś specjalista z Bożej łaski wymurował przepierzenie oraz wykłuł otwór na drzwi w ścianie do przedpokoju. Czy to ówczesna zaprawa źle trzymała, czy też majster popełnił błąd w sztuce, tak czy owak, skutki były opłakane. I to nie tylko przez Marcinka, który usiadł na środku pobjowiska wsparty plecami o muszlę klozetową, jedną ręką przyciskając przez skarpetkę zamrożone mięso do stłuczonej stopy, a drugą rozmazując na policzku łyż

bólu, pomieszane z ceglanym pyłem. Znajdowali się przecież w mieszkaniu Ani Petrycy! Ta zaś z rozsądnej i zawsze sympatycznej dziewczyny zamieniła się ostatnio w histeryczkę o zgoła nieprzewidywalnych reakcjach. Majster niedawno widział ją w akcji i wołał nie myśleć, co się stanie, gdy za kilka godzin wróci do domu i zamiast czystej, schludnej dziury w łazience oraz wymienionego pionu zastanie taką demolkę!

– I co teraz? – zajączał Mareczek, młodszy o trzy dekady praktykant, dopiero wciągający się w tajniki budowlanego rzemiosła.

Staszek jeszcze jednym spojrzeniem omiótł popękaną ścianę, po czym nasadził na głowę swoje tradycyjne nakrycie złożone ze starej gazety.

– Kujemy! – zdecydował. – I to szybko, bo trzeba zwalić ścianę i uprzątnąć cały ten bałagan, zanim dzieciaki wrócą ze szkoły!

Pewnie nie przejmowałby się aż tak bardzo dziećmi, ani nawet Anią, gdyby nie wielki sentyment, jaki od czasów własnego dzieciństwa żywił do ich babci, pani Isi. Niebawem miały minąć dwa lata, od kiedy starsza pani zmarła, a Staszek ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć, że jej nie ma.

Nie mógł zresztą uwierzyć w wiele innych rzeczy. Na przykład w to, że świętej pamięci Benedykt Petrycy, jej mąż i znany lekarz, był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Mimo że ponoć istniały na to dowody, Staszek miał wiele wątpliwości. Przecież takie papiery łatwo można sfabrykować! Jeśli tylko komuś zależało na skompromitowaniu profesora albo jego syna, znanego działacza opozycji, był

to najprostszy sposób! Zwłaszcza teraz, gdy tyle się mówiło o lustracji, brudnych sekretach skrywanych w esbeckich teczkach i rzeszach nieujawnionych agentów. Ludzie byli przewrażliwieni, wszędzie węszyli zdradę. Wiadomo – wystarczy rzucić błotem, a trochę brudu zawsze się przyklei. Majster nie wierzył w te pomówienia, znał przecież rodzinę Petrycych od wielu lat. Nie mógł się też nadziwić, że Maksio nie broni czci swojego przybranego ojca. Może to i lepiej, że pani Isia nie dożyła tej chwili?

Chociaż bywał co dzień w domu przy alei Focha, Staszek nie miał jeszcze okazji poruszyć tego tematu. Ba, nawet w sprawie remontu nie bardzo miał z kim gadać! Gospodarz – lekarz na etacie w klinice i radny Krakowa – był ostatnimi czasy tak zabiegany, że obowiązki związane z prowadzeniem domu musiały przejąć dzieci. I zrobiła to nie Ania, studentka czwartego roku psychologii, ale dwójka najmłodszych – Gabrysia i Franek. Spisywali się na medal, częstowali go świetną kawą, a od czasu do czasu nawet obiadem. Bo nie każdego dnia był teraz u Petrycych obiad na stole.

Staszek kuł zawzięcie, tynk odpadał płatami, a zaprawa osypywała się jak piasek, w ogóle nie trzymając cegieł. Może i dobrze, że to dziś runęło, bo inaczej komuś mogłaby się stać krzywdą. A ta rodzina miała w ostatnim czasie wystarczająco dużo dramatów.

Nikt mu wprawdzie tego nie powiedział wprost, ale Staszek Mróz miał oczy, uszy i głowę na karku. Potrafił wyciągać wnioski z tego, co widział i słyszał. Wniosek zaś nasuwał się jeden – że biednego Maksia opuściła żona.



Maksymilian stał przy przejściu dla pieszych u wylotu ulicy Piłsudskiego i czekał na zielone światło. Błądząc wzrokiem ponad linią pełną naprzód samochodów, trafił spojrzeniem na znajomą twarz. Na chodniku pośrodku alej, w grupie przechodniów stał Mariusz Skwarek, kardiolog. Nie widzieli się od początku marca, gdy Petrycy robił u niego badania i wraz z wynikami – całkiem zresztą dobrymi jak na ten poziom stresu, który od pewnego czasu przeżywał – odebrał zaświadczenie o niezdolności do pracy. To dzięki temu papierkowi, mimo że przełożony odmówił mu urlopu, mógł wyjechać na kilka dni do Paryża, gdzie spodziewał się znaleźć wyjaśnienie rodzinnej tajemnicy.

Prawda, do której dotarł, a także wydarzenia, jakie miały miejsce potem, zdecydowanie negatywnie wpłynęły na czynność śródbłonna jego naczyń wieńcowych, a tym samym przyspieszyły postępy miażdżycy, na którą Maksymilian – prawdopodobnie genetycznie, po mamie – był narażony. Aby się pozbyć ucisku za mostkiem, który ostatnio stale mu towarzyszył, już od kilku miesięcy zapisywał sam sobie i łykał lekkie krople nasercowe. Teraz jednak, widząc po drugiej stronie pasów kolegę specjalistę, uznał, że zsyła mu go los. Przełożył więc aktówkę do drugiej ręki i pomachał do niego przez szerokość ulicy, by zasygnalizować, że chce zamienić dwa słowa. Skwarek drgnął i wystrzył spojrzenie, w tej chwili jednak nadjechał autobus i kontakt wzrokowy został przerwany. Gdy zaś pole widzenia oczyściło się, kardiologa nie było już w poprzednim miejscu. Stał z boku i ze skupieniem

studiował oryginalną fasadę domu Ekielskiego zajmującego narożnik po przeciwnej stronie ulicy.

Uśmiech jak zdmuchnięty zniknął z twarzy Maksymiliana. Kolega widział go, doktor był tego pewny. Zamierzał jednak uniknąć spotkania, nie życzył sobie kontaktu.

„Nie chce podać mi ręki!” – pomyślał Petrycy. W uszach mu zaszumiało, a serce znowu wykonało jakąś dziwną ewolucję, której skutkiem stał się tępy ból promieniujący aż do żuchwy.

Odetchnął, wciągając w płuca powietrze gęste od ołowiu i innych metali ciężkich. Dzień był piękny i przejrzysty, z chodnika można było dostrzec pojedyncze stokrotki na trawniku rozdzielającym obie jezdnie. A jednak doktor wiedział, że nad alejami, aż do wysokości przekraczającej wzrost dorosłego człowieka, unosi się niewidzialny obłok trucizn, w którym tkwią wszyscy uczestnicy ruchu. Znał doskonale wyniki badań krakowskiego powietrza. Najgorsza sytuacja była właśnie tu, wzdłuż arterii przelotowej miasta, którą osobiście mijał przynajmniej dwa razy dziennie, w drodze do i z pracy. Gdyby miał postępować zgodnie z tym, co mu podpowiadał rozsądek, powinien sprzedać dom i wyprowadzić się na daleką wieś, a wizyty w Krakowie ograniczyć do niezbędnego minimum. Ale tego doktor nie zamierzał uczynić. Na przekór wszystkim i wszystkiemu trwał w miejscu, w którym się urodził, wykształcił i przepracował bez mała ćwierć wieku.

„Nie mogę teraz odejść – tłumaczył sobie w momentach, gdy miał ochotę rzucić wszystkim i po prostu uciec. – Jeszcze nie teraz”.

Od trzech tygodni, kiedy zaczął się zaplanowany wcześniej remont starego domu, te chwile załamania zdarzały się mu coraz częściej. Staszek Mróz zajmował się gniazdem rodzinnym Petrycyh tak, jakby chodziło o jego własne, nie dało się jednak uniknąć niedogodności – doktor praktycznie żył na placu budowy. Znosił to bez słowa skargi, gdyż modernistyczna willa stanowiła – obok nazwiska – jego dziedzictwo po wyjątkowym człowieku, którego nadał, bez względu na okoliczności, a nawet wbrew nim, nazywał swoim ojcem.

Sznur samochodów stanął, światło się zmieniło. Maksymilian Petrycy wraz z innymi spiesźnie wszedł na przejście. Nawet jednego spojrzenia nie poświęcił już znajomemu, który właśnie mijał go, wmieszany w tłum, gdzieś z lewej strony.

„Nie on pierwszy i nie ostatni” – stwierdził filozoficznie, trąc zwiniętą w pięść dłońią okolice mostka.



Doktor Petrycy miał już okazję przyzwyczaić się do niechętnych spojrzeń i demonstracyjnego unikania jego towarzystwa przez dawnych dobrych znajomych. Po raz pierwszy spotkało go to, gdy wkrótce po ogłoszeniu stanu wojennego został zatrzymany, a potem niespodziewanie zwolniony z aresztu. Zarzuty nielegalnego handlu walutą, które mu postawiono, były wyssane z palca, choć funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa utrzymywali, że mają na to świadków oraz dowody. Maksymilian – związany z działalnością opozycyjną – wiedział, że na uczciwy proces nie może liczyć. Spodziewał się

jednak, że w zamian za wypuszczenie na wolność będą go nakłaniać do podpisania deklaracji o współpracy. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło.

– Raz odmówiłem i to im wystarczyło. Widać za mały jestem, żeby się mieli wysilać na przekonywanie mnie – tłumaczył jakiś czas później na zebraniu towarzyskim.

Kilka tygodni spędzonych na Montelupich wspominał jako najgorszy czas w swoim życiu. Gdy bez podania przyczyny wypuszczono go z więzienia, koszmar niestety się nie zakończył. Powrót do pracy na dawnych warunkach sprawił, że koledzy zaczęli się mu przyglądać z nieskrywaną podejrzliwością. Na jego widok cichły rozmowy, niektórzy zaś wprost zarzucali mu zdradę. Nie umiał z tym walczyć i dopiero niezłomna postawa jego przyjaciół, Beaty i Przemka Jaroszków, cieszących się w środowisku wielkim autorytetem, sprawiła, że powoli nieufność wobec niego zaczęła znikać. Zdołał nawet na tyle poprawić swój wizerunek, że kilka lat później, gdy wystartował w wyborach samorządowych z listy Komitetu Obywatelskiego, bez problemu dostał się do Rady Miasta Krakowa, a nawet został jej wiceprzewodniczącym.

Tytuł ten utracił na fali przetasowań we władzach miasta na początku dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Dokładnie w momencie, gdy w poszukiwaniu kompromisowego kandydata na stanowisko prezydenta miasta ktoś zgłosił kandydaturę Petrycego, bulwarowa prasa ujawniła tajemnicę jego niemieckiego pochodzenia. Maksymilian – sam będąc jeszcze w szoku po tym odkryciu, dodatkowo przytłoczony nagłym upublicznieniem prywatnych zapisków swej matki – uniósł się honorem i zgłosił rezygnację, która została

przyjęta. Ponad rok zajęło mu odzyskiwanie równowagi ducha i utraconej pozycji. Gdy okrzepł już na tyle, że nieoficjalnie zaproponowano mu posadę ministerialną w przyszłym rządzie, w mieście gruchnęła wieść, że jego przybrany ojciec był „agentem”. Oskarżenia te z wielką pewnością siebie wygłosił na radiowej antenie Stefan Ulat, emerytowany profesor Akademii Medycznej i dawny kolega Benedykta.

– W tych donosach są informacje, które prócz mnie mógł znać tylko on! Ale to nie jest jedyna przesłanka. Dałem do ekspertyzy próbki pisma. Wynik jest jednoznaczny – oznajmił.

Maksymilian nie wahałby się wkroczyć na drogę sądową, gdyby z innych źródeł nie dowiedział się o faktach, które niestety potwierdzały rewelacje Ulata. Prywatne śledztwo przeprowadzone w tej sprawie przez doktora zaprowadziło go aż do Paryża, do mieszkania tajemniczej Michelle de Merteuil, będącej przed laty – jak się okazało – pierwszą żoną Benedykta Petrycego. Odkrycie tożsamości i powiązań kobiety, którą polska emigracja pogrudniowa i opozycjoniści w kraju nazywali „mateczką”, mniej jednak wstrząsnęło Maksymilianem niż wgląd w dokumenty Służby Bezpieczeństwa, jakie ta wpływowa osoba zgromadziła i ukryła w swoim domu. Wynikało z nich jednoznacznie, że Benedykt, torturowany w ubeckiej katowni w roku pięćdziesiątym, został wreszcie szantażem zmuszony do współpracy. Robił, co mógł, by jej uniknąć i zminimalizować skutki donosów, obciążając w nich głównie Stefana Ulata. O tym, kim był ten ostatni i jak niecnym czynów dopuścił się przed wojną, hrabina opowiedziała Petrycemu bardzo drobiazgowo. Czy mogło to być jednak brane pod uwagę jako okoliczność łagodząca?

Najbardziej druzgocące dla Maksymiliana było stwierdzenie, że od początku narzędziami szantażu zastosowanego wobec Benedykta stała się jego matka i on sam. Okupacyjna miłość Jadwigi i niemieckiego urzędnika Maxa Bayera, powiązanie ich z niewyjaśnionym nigdy morderstwem, dokonany przez hitlerowców na polskiej rodzinie i ukrywanych przez nią Żydach, mogły stanowić pretekst do osadzenia matki Maksymiliana w obozie pracy przymusowej oraz pozbawienia jej praw rodzicielskich. Do tego zaś Benedykt za żadną cenę nie chciał dopuścić. Po wyjściu ze stalinowskiego więzienia napisał kilka zdań do przybranego syna:

Nie wiem, co zeznawałem, przymuszony męczarniami. Tłukli moją głowę o ścianę, obili nerki, połamali kości. Zamknęli w piwnicy, pozbawili jedzenia i snu. Grozili, że zaaresztują Twoją mamę, a Ciebie oddadzą do sierocińca. Ale opierałem się im, póki mogłem. Jeśli komuś zaszkodziłem, nie było to świadome, i z serca przepraszam. Chciałbym, żebyś to wiedział. Może kiedyś ta wiedza Ci się przyda.

Wertując akta bezpieki, Maksymilian Petrycy wreszcie pojął, co się zdarzyło na początku osiemdziesiątego drugiego roku, gdy w kilka tygodni po aresztowaniu został niespodziewanie zwolniony z więzienia. Oto Benedykt, załamany podniesionymi przeciw synowi zarzutami natury kryminalnej, perspektywą kary wieloletniego więzienia i pozostawienia bez środków do życia jego żony z czwórką małych dzieci, sam skontaktował się z funkcjonariuszem SB i zaproponował mu swoje usługi. Rzecz była wyreżyserowana – aresztowanie

Maksymiliana od początku tylko temu miało służyć. W tamtym okresie jednak żaden z nich nie mógł tego wiedzieć. Dopiero lektura raportów Lucjana Pawlickiego, oficera prowadzącego jego ojca, uzmysłowiła Maksymilianowi całą misterną intrygę, w której nieświadomie odegrał rolę wyznaczoną mu przez SB. Gdy o tym wszystkim myślał, serce pękało mu z żalu i wściekłości. Zrozumiał zachowanie Benedykta Petrycego w ostatnich latach życia – zgorzkniałego, zamkniętego w sobie starca, któremu nieludzki system odebrał resztki szacunku do samego siebie.

– Gdyby dało się to zło jakoś naprawić. Ale boję się, że już nie zdążę – miał powiedzieć Benedykt do Michaliny de Mer-teuil, z którą spotkał się krótko przed śmiercią. Przed najbliższymi milczał aż do końca, nie chcąc ich obciążać swoim poczuciem winy.

Te właśnie słowa sprawiły, że Maksymilian Petrycy powstrzymał hrabinę, gdy zamierzała wrzucić w ogień esbeckie teczki.

– Proszę mi wierzyć, znałem swojego tatę. Nie to miał na myśli, kiedy mówił o naprawieniu zła, które uczynił.

– Cóż więc miał na myśli? Proszę mi powiedzieć! Co on by zrobił? – dopytywała się z gniewem.

– Myślę że to samo, co zrobiła pani, kiedy się z nim spotkała tamtej jesieni po pięćdziesięciu latach – powiedział cicho Maksymilian.

Widząc jej łzy, nie dokończył. Był jednak pewien, że tylko jedno słowo może rozpocząć proces naprawiania zła. Krótkie i proste, ale jakże trudne do wypowiedzenia słowo „przepraszam”. W aktach widniały nazwiska osób skrzywdzonych

donosami jego ojca. Tym ludziom należała się prawda i – o ile to możliwe – zadośćuczynienie.

– On rzeczywiście nie zdążył, więc teraz w jego imieniu muszę to zrobić ja – powiedział do Michaliny na zakończenie długiej i bardzo dla obu stron wyczerpującej rozmowy.

Pierwsza żona Benedykta nie była do końca przekonana, nie kryła też emocji. Sama w pokątny sposób weszła w posiadanie tych dokumentów tylko po to, by je zniszczyć. Widząc jednak determinację Maksymiliana i uznając, że ma on prawo na swój sposób bronić pamięci człowieka, którego nazwisko nosił, w końcu oddała mu papiery. Pomogła nawet zakupić u bukinistów nad Sekwaną kilka roczników starych czasopism, między którymi przy odrobinie sprytu można było w sposób niebudzący podejrzeń przemycić teczek przez granicę.

– Życzę powodzenia – rzuciła na pożegnanie, wzdychając przy tym teatralnie. – I niech pan nie zapomni o naszej umowie!

Umowa dotyczyła Dominiki Niewiadomskiej, prawniczki, która pośredniczyła w handlu trefnym towarem między francuską hrabiną a Lucjanem Pawlickim, byłym pracownikiem Służby Bezpieczeństwa z Krakowa. Maksymilian miał wymazać młodą kobietę z pamięci oraz notesu i przemilczeć jej udział w przedsięwzięciu, Michalina zaś – w razie kłopotów – wziąć całą winę na siebie.

Tak się rozstali, by – jak wskazywały wszelkie znaki na niebie i ziemi – już nigdy więcej się nie spotkać. Następnego dnia Petrycy bez przeszkód przekroczył granicę, a jego bagaż nie był nawet kontrolowany.

W czasie wielu godzin jazdy, oglądając mijane krajobrazy, smugi światła, a potem już tylko czernią za oknem, miał okazję przemyśleć sobie wiele rzeczy. Coraz wyraźniej docierało do jego świadomości, jak podle został wykorzystany przez tajną policję w roli narzędzia do zniewolenia człowieka, którego kochał i szanował. Dopiero teraz uzmysłowił sobie ogrom zła, z którego wcześniej – nawet jako działacz opozycji – nie zdawał sobie w pełni sprawy.

„Wszyscy byliśmy sterowani” – myślał z goryczą, słuchając chrapania współpasażera na sąsiednim siedzeniu. – „Manipulowano nami jak kukiełkami w teatrze lalek!”

Czuł, że nie wolno mu tego wszystkiego zachować dla siebie. Tak działał ten system, przez kilka dekad w ten właśnie sposób rządząca klika – pod kuratelą obcego mocarstwa – sprawowała w Polsce niepodzielną władzę. A zatem dokumenty, do których dotarł Maksymilian, to nie była prywatna sprawa pomiędzy jego ojcem a kilkorgiem solidarnościowych działaczy. To był jeden z mikroskopijnych trybików, za pomocą których potężnej machinie „imperium zła” udawało się trzymać naród w zniewoleniu.

Nawet nie wiedział, że zaciska pięści, dopiero ból wbijających się w ciało paznokci sprawił, że wyprostował palce i oparł je o kolana. Zrozumiał, że jest tylko jedna droga, którą może podążać – ujawnienie prawdy. W tym również szokującego faktu, z którym ciągle jeszcze nie mógł się pogodzić, że zawartość esbeckich archiwów nie została zniszczona, ale stała się przedmiotem handlu, być może nawet na ogromną skalę.

„To zło wcale nie zniknęło, ono szerzy się dalej i dotyka nas wszystkich. Jeśli ktoś nie położy temu kresu, zatruje nas, porazi, i to na długie lata”.

Wysiadł z autokaru nieco chwiejnie, gdyż po wielogodzinnej jeździe w obie strony nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Umysł miał jednak klarowny, a cele jasno wytyczone. Nie spodziewał się tylko, że ich osiągnięcie będzie go aż tak wiele kosztować.



Od razu wyczuł, że coś się zmieniło. Marysia uciekała spojrzeniem w bok, nie szukała bliskości. Po powitaniu szybko uwolniła się z jego objęć. Wtedy jeszcze nie zwrócił na to uwagi, zbyt był zajęty tym, co miał jej do powiedzenia. Później wielokrotnie analizował w myślach te pierwsze chwile po przyjeździe z Paryża i zastanawiał się, co zrobił źle. Nie potrafił jednak znaleźć odpowiedzi.

Wysłuchiwała go, siedząc na łóżku, zawinięta w koc, niewidzącym spojrzeniem wpatrzona w okno. Od kiedy zaszła w ciążę, sporo czasu spędzała w tej pozycji, tak jakby wśród natłoku domowych i zawodowych obowiązków potrzebowała samotności do oswojenia się z nową sytuacją. Może gromadziła siły, by sprostać kolejnemu wyzwaniu, przed którym stanęła? Później, gdy już stało się najgorsze i normalna rozmowa przestała być możliwa, wyrzucał sobie, że nigdy jej o to nie zapytał.

– Co chcesz z tym wszystkim zrobić? – odezwiała się dopiero, kiedy skończył.

– Upublicznić – wypalił bez zastanowienia. – Ludziom należy się prawda!

– Ludziom?

– No społeczeństwu. Wszystkim.

– I myślisz, że ich to tak bardzo zainteresuje?

– Myślę, że tak – powiedział z przekonaniem. – Ulat rzucił swoje oskarżenia w eter, każdy mógł tego słuchać. Niech teraz każdy posłucha, jak do tego wszystkiego doszło!

– I nie przeszkadza ci, że znowu będą rozgrzebywać historię naszej rodziny? Komentować, spekulować, oceniać? – w jej głosie zabrzmiały niepokojące nuty, ale nie zmieniła pozycji i nie oderwała wzroku od okna, choć nie było za nim nic, poza łysymi jeszcze gałęziami drzew.

– Spekulować? – zdziwił się Maksymilian. – Teraz jest pole do spekulacji! Chcę o tym wszystkim opowiedzieć właśnie po to, żeby ludzie poznali prawdę. Niech każdy ma możliwość dokonania oceny we własnym sumieniu.

– A nasze dzieci? Nie wystarczy ci to, przez co już musiały przejść? – Wreszcie odwróciła głowę i spojrzała wprost na niego. W jej oczach wyczytał gniew, mimo że ciągle doskonale nad sobą panowała.

– Nasze dzieci... – Nagle poczuł się bezradny. To był argument poniżej pasa. – One zrozumieją. Może przez chwilę będzie to bolesne, ale potem... Zrozumieją na pewno, że tak było lepiej. Dla wszystkich!

– Nie dla wszystkich, tylko dla ciebie – wycodziła lodowato. – Znowu się będzie mówić o panu Petrycy. Wszystko jedno, źle czy dobrze, byle się mówiło! Czy nie o to ci chodzi?

Była niesprawiedliwa. Doktor skurczył się, jakby dostał niespodziewanie cios w żołądek.

– Jak możesz tak myśleć? – wyszeptał tylko. – Przecież mnie znasz.

– Nie wiem już, czy cię znam – powiedziała, uciekając znów spojrzeniem w bok. – Zmienileś się, Maksymilianie. Kiedy Jasiek mówił, że polityka zmienia ludzi, nie chciałam mu wierzyć. Ale teraz sama zaczynam mieć wątpliwości.

– Zrozum, ja muszę to wszystko naprawić! – Niespodziewanie dla samego siebie znalazł się tuż obok niej. Objął ją ramieniem i spróbował odwrócić do siebie, ale wyczuł opór. – Zdarzyły się okropne rzeczy, a ja o niczym nie miałem pojęcia! Przez co on musiał przejść! Ile wycierpiał w samotności. Gdybym tylko wiedział...

– Ale nie wiedziałeś! – Poruszyła się gwałtownie, zrzucając jego rękę. – I nie możesz już nic zmienić!

– Masz rację – powiedział cicho. – Ale mogę przynajmniej przeprosić ludzi, których skrzywdził.

– Przeprosić? Za co? Że byliśmy ślepi, że nie potrafiliśmy kojarzyć faktów?

– Kochanie...

– Co, kochanie?! Czy to my ponosimy odpowiedzialność za jego wybory?!

Bezradność na chwilę pozbawiła go mowy. Ona tymczasem ciągnęła ze wzburzeniem:

– Myślisz, że mnie jest z tym łatwo?! Kochałam go jak ojca!

Zaczęła płakać, ale Maksymilian, chwilę wcześniej odepchnięty, nie śmiał już jej przytulić. Siedział z opuszczonymi

bezwładnie rękami i zastanawiał się, co teraz powiedzieć. Bo jedno wiedział na pewno – i tak, bez względu na przebieg tej rozmowy, zrobi to, co uważa za słuszne.

– Znałaś go prawie tak dobrze jak ja – odezwał się wreszcie, gdy po raz ostatni pociągnęła nosem i otarła oczy. – Sama widziałas, jak ciężko było mu żyć z tym brzemieniem, pamiętasz tamte lata, ostatnie przed jego śmiercią.

Ledwo zauważalnie skinęła głową.

– Więc chyba rozumiesz, że muszę tych ludzi przeprosić. W jego imieniu. On na pewno tego by sobie życzył.

– Przeprosić w jego imieniu? – Zmarszczyła brwi. – Przecież to niemożliwe! Nie da się przeprosić za coś, co uczynił inny człowiek. Nie da się przeprosić za kogoś! Nawet jeśli się wie, że on żałował.

Miała rację. Doktor nie musiał się długo zastanawiać, by jej to przyznać. Ale mógł zrobić co innego, coś, do czego miał moralne prawo.

– Jeśli nie przeprosić, to przynajmniej zadośćuczynić. To jeden z warunków odpuszczenia – powiedział w natchnieniu.

– Zadośćuczynić? – Znowu nie zrozumiała jego intencji. – Jak? Wypłacisz im odszkodowanie?

– No nie wiem – zawahał się Maksymilian. – Jeśli sytuacja będzie tego wymagała...

Długo patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Ty naprawdę zamierzasz to zrobić! – Pokręciła głową. – Chcesz z tym wyjść do ludzi i wystawić się na lincz.

– Ale jaki lincz, Marysiu? Kochanie, trochę jednak przesadzasz.

Wzruszyła ramionami.

– Lincz czy infamia, jakie to ma znaczenie? To nie będzie, jak twierdzisz, bolesne tylko przez chwilę. To się będzie za nami ciągnęło przez lata! Zrujnujesz nasze życie i życie naszych dzieci. Wykończysz nas psychicznie i finansowo. Czy tego chcesz?

– Przecież dobrze wiesz, że nie! – krzyknął, nie panując już nad sobą. Gdy w autokarze planował swoje następne posunięcia, nie przewidział aż takiego oporu z jej strony. Nie chciała czy nie potrafiła go zrozumieć? A może to on nie rozumiał wszystkiego, skoro nie mógł pojąć jej punktu widzenia? – Wiesz, że kocham was najmocniej na świecie i nigdy nie zrobiłbym wam krzywdy! Ale są sprawy ważniejsze. Zrozum. Ważniejsze niż miłość i rodzina!

– Benedykt tak nie uważał.

– I zapłacił za to straszliwą cenę!

Przez chwilę milczeli, każde pogrążone we własnych myślach.

– I jak niby zamierzasz to zrobić? – zapytała wreszcie.

– Uzgodniliśmy z Joanną... – zaczął, ale nie dane mu było dokończyć.

– Uzgodniliśmy?! Z Joanną?! – Marysia poderwała się z łóżka wyjątkowo sprężysto jak na piąty miesiąc ciąży. Oczy zapłonęły jej wściekłością. – To ja już nie mam nic do powiedzenia?!

– Ależ oczywiście, że masz!

Zorientował się poniewczasie, że wymieniając imię dziennikarki, popełnił fatalny błąd.

– Od dwudziestu czterech lat noszę twoje nazwisko! I nasze dzieci też je noszą! A ty z jakąś cizią ot tak decydujesz

o naszym losie?! I dopiero potem mówisz o tym wszystkim mnie?!

Krzyczała, stojąc przed nim z kocem nadal narzuconym na ramiona, trzęsąc się ze wzburzenia. Brzuch podskakiwał przy każdym jej słowie. Wiedział, że nie powinna się aż tak denerwować, szczególnie po zabiegu amniopunkcji, który przeszła kilka dni wcześniej. Ale nie potrafił jej uspokoić.

– Wybacz – powiedział tylko, pochylając głowę, na którą sypały się gromy. – Ale w tej sprawie ja po prostu nie mogę postąpić inaczej.

Kraków, sobota, 21 marca 1992

Joanna Lipska mrugnęła do niego i uśmiechnęła się pokrępiąco. Właśnie kończył się blok reklam, za chwilę mieli wejść na fonię.

– Do dzieła! – szepnęła bezgłośnie, a zaraz potem modulowanym specjalnie głosem powitała słuchaczy. – Naszym gościem jest dzisiaj Maksymilian Petrycy, doktor nauk medycznych, działacz opozycyjny, a obecnie radny miasta Krakowa.

– Dobry wieczór państwu. – Głos miał schrypnięty z emocji. Świadomość, że słucha go tylu ludzi, a także waga tego, co miał powiedzieć, na chwilę odebrały mu wszelką odwagę.

– Zaprosiłam pana dzisiaj, żeby porozmawiać o oskarżeniach, które nie tak dawno padły na naszej antenie. Pana zmarły ojciec Benedykt Petrycy, zasłużony dla Krakowa lekarz i społecznik, został pomówiony o współpracę ze Służbą

Bezpieczeństwa. Czy chciałby się pan jakoś ustosunkować do tych zarzutów?

– Tak – wyszeptał Maksymilian. W głowie miał pustkę, wszystko, co sobie wcześniej przygotował, zniknęło. Odchrząknął, rzucając dziennikarce ponad mikrofonem rozpaczliwe spojrzenie. Potrzebował pytań pomocniczych!

– Wiem, że udało się panu dotrzeć do dokumentów, które pozwalają jednoznacznie stwierdzić...

– ...że te oskarżenia były prawdziwe.

Gonitwa myśli ustała, pustka znowu wypełniła się treścią. Klamka zapadła. Powiedział to.

– Nie ma pan żadnych wątpliwości? Przecież tak wiele mówi się teraz o możliwości dokonywania fałszerstw.

– Niestety, jestem pewny, że mój ojciec współpracował. Co gorsza, wiem, że w dużej części sam się do tego przyczyniłem.

– Pan?! Panie doktorze, żebyśmy zostali dobrze zrozumiani!

– Nie wprost. Moja osoba była wykorzystywana przez Służbę Bezpieczeństwa do szantażowania ojca. Widziałem na własne oczy zdjęcia wykonane przez nich w czasie demonstracji studenckich w marcu sześćdziesiątego ósmego. Była tam moja twarz, i wśród tłumu, i w dużym powiększeniu. Także twarz mojego przyjaciela. Widziałem notatkę służbową ze spotkania esbeków z moim ojcem kilka dni później. Namawiano go do współpracy w zamian za to, że nie będą wobec nas wyciągnięte konsekwencje.

– I pański ojciec przyjął tę „propozycję”?

– Uznał, że nie ma wyjścia. Oczywiście lawirował, jego... – Maksymilian zawahał się przy słowie „donosy”, które niosło

tak wiele treści. – Jego raporty były bardzo ogólnikowe, pisał je tak, by nikomu nie zaszkodzić. Ale nie wiadomo, które informacje i w jaki sposób SB mogła wykorzystać. Dlatego nie mogę się z tym pogodzić, że ojciec podjął taką decyzję. Gdy na to patrzę z perspektywy lat, wołałbym wtedy wylecieć z uczelni i sam zapłacić za swoje wybory, niż teraz przechodzić przez to wszystko. Próbować usprawiedliwić przed światem postępowanie tak bliskiej mi osoby, którego... nie da się usprawiedliwić!

Doktor zamilkł i zacisnął wargi. Do oczu napłynęły mu łzy.

– Powszechnie wiadomo, że na skutek brutalnych przesłuchań w stalinowskim więzieniu Benedykt Petrycy stracił zdrowie i możliwość wykonywania swojego zawodu – podjęła wątek Joanna, widząc, że jej rozmówca potrzebuje chwili na opanowanie wzruszeń. – Po wyjściu nie mógł już być chirurgiem, gdyż połamane przez śledczych palce nie odzyskały pełnej sprawności. Zajął się leczeniem chorób krwi.

– To prawda – wydusił Petrycy, ciągle na granicy płaczu. – Proszę mi wybaczyć, ale... jeszcze nie ochłonąłem po przeczytaniu kwitów, które Służba Bezpieczeństwa zgromadziła w jego teczkach. Bardzo mi trudno to zaakceptować.

– Jak pan sądzi, czy doświadczenia ze stalinowskiego więzienia wpłynęły na jego późniejsze decyzje? Czy lęk przed torturami, które mogłyby dotknąć na przykład pana, czynił go bardziej podatnym na żądania esbeków?

– Nie mam pojęcia – wyszeptał Maksymilian. – Ojciec nigdy nie wydawał mi się człowiekiem bojaźliwym, a w każdym razie nie bał się o siebie. Ale wiem, mam na to dowody z teczek, że chciał chronić moją matkę i mnie. A potem,

po wprowadzeniu stanu wojennego, także synową i czworo wnucząt. To właśnie jego miłość i przywiązanie do rodziny Służba Bezpieczeństwa wykorzystywała bezwzględnie przez długie lata. Pisali o tym wprost! – Głos znowu mu zadrżał, tym razem z gniewu. – Nie mam słów na określenie tego, co wyziera z tych dokumentów. To byli ludzie kompletnie pozbawieni uczuć i sumienia! Sterowali zza kulis postępowaniem nieświadomych niczego osób, rozpracowywali je, łamali ich kariery, rozbijali rodziny, pozbawiali godności. Wszystko po to, by osiągnąć jakieś swoje cele. Nie, nawet nie swoje! Cele komunistycznego państwa, z którym się identyfikowali. Nie mam słów.

– Czy myśli pan, że poznanie motywów kierujących pańskim ojcem może w jakiś sposób wpłynąć na stanowisko pokrzywdzonych przez niego osób? Nie tak dawno na naszej antenie profesor Stefan Ulat domagał się sprawiedliwości.

Wspomnienie o człowieku, wobec którego Benedykt swoimi donosami wyrównał tylko rachunek krzywd, sprawiło, że Petrycy momentalnie ochłonął. Nie wiedział jednak, co ma odpowiedzieć. To była niezwykle delikatna sprawa. Doktor nie mógł ujawnić wszystkiego, co wiedział o Ulacie. Nie miał żadnych dowodów przeciw niemu, zresztą przestępstwa te były już przedawnione.

– Profesor powiedział wówczas, że uważa lustrację za dziejową konieczność. – Wobec przedłużającego się milczenia włączyła się znowu Joanna. Uczucia miotające jej rozmówcą uzewnętrzniały się na jego twarzy, ale słuchacze nie mogli przecież tego widzieć. Radio zaś kierowało się własnymi prawami, nie znosiło ciszy. – Stwierdził, że powinna ona objąć

nie tylko osoby na najwyższych stanowiskach w państwie. Że ludziom prześladowanym przez system należy się, by sprawcy ich nieszczęść przyznali się do winy. Co pan o tym sądzi?

– Ci, którzy nie żyją, nie mogą się już przyznać. Ani bronić – powiedział cicho doktor. – Nie mogą też przeprosić, nawet gdyby chcieli.

– Domyślam się, że mówi pan w tej chwili o swoim ojcu – stwierdziła Joanna. – Myśli pan, że on, gdyby żył, chciałby przeprosić?

– Z relacji osoby, która była mu kiedyś bardzo bliska, dowiedziałem się, że żałował tego, co zrobił. Czy miałby jednak odwagę, by teraz, w wolnej Polsce, publicznie stać temu czoło? Nie mam pojęcia. – Doktor zawahał się na chwilę. – Wiem natomiast z własnego doświadczenia, jak się czuje człowiek postawiony pod prężeniem opinii publicznej. Podle. Dlatego bałbym się żądać tego od kogokolwiek.

– Uznaje pan, że lepiej pozostawić wszystko w spokoju i w zapieczętowanych, niedostępnych archiwach?

– Nie. Każdy powinien mieć dostęp do dokumentów, które go dotyczą. Pokrzywdzeni rzeczywiście mają prawo do sprawiedliwości, tu zgadzam się z panem Ulatem. Zwłaszcza że te archiwa wcale nie są takie niedostępne.

– Zanim do tego przejdziemy, chciałam jeszcze raz powtórzyć swoje pytanie – powstrzymała go Joanna. – Czy sądzi pan, że ujawnienie okoliczności, w których ludzie byli zmuszani do współpracy, pozwoli ich ofiarom coś zrozumieć i przebaczyć?

Doktor Petrycy przez chwilę uczciwie się nad tym zastanowił.

- Wątpię – odrzekł wreszcie.
- A jednak oczyszczenie atmosfery wokół tajnych służb Peerelu i ich współpracowników wydaje się konieczne. To się już dokonuje w Niemczech, Czechach i na Węgrzech.
- I u nas też trzeba będzie to zrobić. Także dlatego, że póki zawartość esbeckich archiwów będzie dla obywateli objęta tajemnicą, może stanowić doskonały materiał do różnych przetargów, a nawet do uprawiania szantażu przez tych nie-licznych, którzy ją poznali. Mam nawet powody sądzić, że już stanowi.
- No właśnie. W jaki sposób dotarł pan do teczek swojego ojca?
- To jest najbardziej niepokojące w całej tej historii. Dowiedziałem się, że te teczki zostały skreślane z ewidencji i zniszczone na przełomie osiemdziesiątego dziewiątego i pięćdziesiątego roku. Ale okazało się, że to nieprawda. Istniały nadal i były w prywatnym posiadaniu byłego funkcjonariusza SB, który po prostu chciał je sprzedać z jak największym zyskiem. Dostałem od niego propozycję kupna.
- Słucham?! – Bardzo udatnie zagrała zdziwienie. Wiedziała już o tym przecież od kilku tygodni, gdy Maksymilian zdecydował się wtajemniczyć ją w całą aferę.
- Tak, ja nie żartuję. Byłem tak zaskoczony, że z początku nie rozumiałem, o co mu chodzi. Dopiero po niewczasie pojąłem, co się dzieje. Zacząłem szukać dojścia do tych dokumentów. Niestety, zostały już wtedy sprzedane i wywiezione za granicę.
- Włos się jeży, gdy się tego słucha. Co pan zamierza zrobić z całą tą wiedzą?

– Jeszcze nie wiem, dopiero niedawno odzyskałem te papiery. Trzeba je będzie oddać do przebadania nie tylko pod względem autentyczności, w którą niestety musiałem uwierzyć, ale także zawartości. Nie mam pojęcia, kto mógłby się tym zająć, sam ciągle jeszcze jestem oszołomiony tym, do czego dotarłem. Żałuję, że nie mogę o tym wszystkim porozmawiać z ojcem, zapytać go, co czuł, czego się bał lub na co liczył. Zostałem z tym sam, bezradny jak dziecko we mgle. Dlatego uważam, że ten problem powinien być rozwiązany systemowo. Tak, żeby nikogo nie skrzywdzić, ale też nie zakłamywać rzeczywistości.

– Czy to jest pana apel do rządzących?

– Nie miałam takich intencji, ale... tak, można by to potraktować i w ten sposób.

– Więc co chciał pan osiągnąć, występując dzisiaj na naszej antenie?

– Chciałem powiedzieć, że bardzo mi przykro. Nie mogę przeprosić za ojca, to nie w mojej mocy, ale chcę wyrazić żal. I obiecać, że zrobię wszystko, żeby to się nigdy nie powtórzyło. Żeby nie było w naszym kraju więcej sytuacji, gdy łamie się ludziom kręgosłup moralny i niszczy sumienia, wykorzystując do własnych autorytarnych celów ich najniższe pobudki bądź prawdziwie wzniosłe uczucia. Bo te też wykorzystywano! Miłość i troskę o innych, czasem naiwność. Grzebano ludziom w prywatności i gromadzono haki, by groźbą kompromitacji wymuszać potem takie, a nie inne postępowanie! – zachłysnął się i otrząśwał. – Dlatego tu jestem i mówię państwu szczerze o tym, czego się dowiedziałem o moim ojcu. Gotów jestem przyjąć

wszystkie konsekwencje, jakie mnie mogą za to spotkać w życiu politycznym.

– Zmierza pan w nim pozostać?

Spojrzał na nią zdziwiony. Takiego pytania się nie spodziewał.

– Jeśli taka będzie wola wyborców – odrzekł krótko.

Rok wcześniej, gdy niektórzy odsądzali go od czci za wybór, jakiego w czasie wojny dokonała jego matka, wiążąc się z Niemcem, to jemu samemu wydawało się, że powinien się wycofać z pełnienia funkcji publicznych. Dlatego zrezygnował z fotela wiceprzewodniczącego Rady Miasta Krakowa, choć na szczęście nie złożył mandatu. Od tamtego czasu jednak sporo sobie przemyślał i okrzepł w swoich poglądach. Potrafił ich już bronić.

– Nie ponoszę odpowiedzialności za to, co uczynił mój ojciec... czy matka. – Przy ostatnim słowie głos mu zauważalnie drgnął. – Mogę odpowiadać tylko za swoje czyny.

– Oczywiście – wtrąciła szybko Joanna. – Nikt przecież panu niczego nie zarzuca.

– Gdy wypominano mi niemieckie pochodzenie i tragiczne zdarzenie z czasów wojny, w które rzekomo była zamieszana moja rodzina, mogłem z czystym sumieniem stwierdzić, że Jadwiga Ptaszyńska nikogo nie skrzywdziła – przerwał jej, wpatrzony w mikrofon, skupiony maksymalnie na tym, co chciał powiedzieć. – Potwierdził to świadek tamtych wydarzeń, w rozmowie, z której mam nagranie.

– Tak, czytałam wywiad z panem na ten temat w „Gazecie Wyborczej”.

– Natomiast to, co uczynił mój przybrany ojciec, a o czym dowiedziałem się niedawno, dotknęło boleśnie bardzo wielu ludzi. W tym także, choć na samym końcu, mnie i moją rodzinę.

Joanna, zapominając, że jest w radiu, bez słowa potwierdziła skinieniem. On zaś zaczerpnął głęboko tchu, zanim dokończył:

– Zło jest złem. Choć to cholernie boli, bo kochałem i nadal Kocham Benedykta, nie mam prawa go usprawiedliwiać i szukać okoliczności łagodzących. To mogą zrobić tylko ci, którzy zostali przez niego skrzywdzeni.

Kraków, poniedziałek, 25 maja 1992

Ból za mostkiem powoli minął. Pograżony w myślach doktor nawet nie zauważył, kiedy minął hotel Cracovia i stadion sportowy i doszedł do furtki. Zawieszona na niej skrzynka znów była pełna. Wygarnął plik kopert i przejrzał je po bieżnie. Adresowane ręcznie i maszynowo, wszystkie listy skierowane były do niego. Bez czytania mógł powiedzieć, co zawierają – obelgi i złorzeczenia, opisy smutnych historii ludzkiego życia i prośby o wsparcie, a także wyrazy uznania za odwagę cywilną, której przejawem był ów radiowy wywiad. Te ostatnie, najmniej liczne, najczęściej były podpisane imieniem i nazwiskiem.

Niechciana korespondencja już dawno przestała robić na nim wrażenie i niemal w całości służyła jako rozpalka w starym piecu węglowym, który ze względu na kapryśną

wiosenną pogodę jeszcze do niedawna był stale w użyciu. Teraz jednak doktor uważniej przyjrzał się znaczkowi z globusem zodiakalnym i napisem SVERIGE na jednej z kopert. Rozrywając niecierpliwie dobrej jakości papier, wkroczył na koślawą ścieżkę prowadzącą do domu. Wystarczył mu rzut oka na zawartość – dwie kartki zapisane drobnym, niedbałym pismem lekarza. Nacisnął klamkę, czując na grzbiecie dreszcz emocji. Zamierzał zaraz zaszyć się w swoim gabinecie, by w ciszy zapoznać się z treścią listu, a może nawet wysilić na odpowiedź. Ale gdy tylko wszedł do przedpokoju, w jednej chwili o tym zapomniał. Przed nim rozciągał się krajobraz zniszczenia, w którym – przyprószeni miałem z cegły i zaprawy – krzatali się Staszek Mróz i jego pomocnik.

– Maksiu, nie uwierzysz, co się stało – zaczął majster, otrzepując spodnie i wzniesając przy tym dodatkowe chmury pyłu. – Nie wiem, kto wam robił tę łazienkę, ale, z przeproszeniem, spartolił robotę.

– Nie wierzę – wyszeptał Maksymilian.

Otwartą kopertę wsunął do kieszeni marynarki, pozostałe upuścił koło drzwi do piwnicy i powoli ruszył w głąb przedpokoju, a stamtąd do łazienki. W miejscu gdzie jeszcze rano była ściana, widniało teraz gruzowisko. Petrycy wyminął Mroza i zobaczył po drugiej stronie wnętrza kuchni w dawnym mieszkaniu swoich rodziców, zajmowanym obecnie przez Anię. Przepelniony kosz na śmieci, stos brudnych naczyń oraz rozłożone na stole resztki śniadania – przysypane teraz kurzem i odpryskami tynku – nie wystawiały jego córce najlepszego świadectwa.

„Powinna się wreszcie nauczyć dbać o porządek w swoim otoczeniu!” – pomyślał, zawieszając wzrok na wrzuconym do zlewu, na wpół rozmrożonym kawałku mięsa w woreczku, z którego sączyła się strużka krwi. – „Przeć się za chwilę zostanie matką! Jak wtedy zdoła to wszystko ogarnąć?!”

Gdyby obok niego stała Marysia, doktor na pewno nie powstrzymałby się od komentarza. Żony przy nim jednak nie było, a przed Staszkiem nie chciał wylewać żalów. Co więcej, miał przeczucie, że nie odważy się powiedzieć tego Ani. Ich relacje były tak złe jak jeszcze nigdy dotąd.

– Czy ona już to widziała? – zapytał, odchrząkując, gdyż złośliwe drobinki pyłu dostały się mu do gardła i utrudniały mówienie.

– Jeszcze nie – odpowiedział majster z przejęciem, które wskazywało, że doskonale zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. – Ale dobrze by było, żeby ktoś ją na to przygotował, zanim tutaj wejdzie.

– A my, tam na górze? Jesteśmy bezpieczni czy też istnieje możliwość, że nagle znajdziemy się piętro niżej? – ciągnął rzeczowo doktor, unosząc głowę i wodząc wzrokiem po suficie w poszukiwaniu rys i pęknięć.

– To była tylko ścianka działowa! Katastrofa budowlana jeszcze wam nie grozi – uspokoił go Staszek. – Postaramy się do jutra uprzątnąć ten gruz, kupimy partię cegieł i w czwartek, a najdalej w piątek, zaczniemy stawiać nową. Ale rozmowy z twoją córką się nie podejmuję.

– No dobrze! – westchnął Maksymilian, wycofując się ze zrujnowanej łazienki i zasuwając łańcuszek w drzwiach

wejściowych. – Zejdę, jak się zacznie dobijać, i uprzedzę ją, żeby nie doznała szoku.

Myśl o tym, że Ania będzie musiała teraz przeprowadzić się na górę, sprawiła, że jego plecy, mocno już pochylone po zejściu z kardiologiem i opróżnieniu skrzynki na listy, zgarbiły się jeszcze bardziej. Ogarnął wzrokiem pobojowisko.

„Jak w moim życiu” – pomyślał, z rezygnacją wstępując na schody.



W mieszkaniu na piętrze nie było jeszcze nikogo, kuchenne palniki stały wygaszone, a lodówka ziała pustką. Maksymilian zatrzasnął drzwi, na których widoczne było wgniecenie po jednej z jego najbardziej gwałtownych kłótni z Marysią. Poglądził palcem blachę w miejscu, gdzie odprysnął lakier.

„Wtedy jeszcze mogliśmy sobie wszystko powiedzieć i wyjaśnić – pomyślał tęsknie. – Czemu potem przestała ze mną rozmawiać?”

Zastanawiał się nad tym już ponad miesiąc i ciągle nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Rozpraszały go zresztą tysiące domowych i zawodowych spraw, którymi się musiał zająć. Jak choćby teraz, gdy głód dawał się mu we znaki, nieprzeczytany list parzył przez kieszeń marynarki, a świadomość, że nie ma obiadu dla dzieci, szarpała sumienie. Szybko zapomniał więc o Marysi, przeszedł do dużego pokoju i wybrał numer pani Moniki, która już od lat pomagała Petrycym w większych porządkach i pracach domowych.

– Chciałbym zaproponować pani trochę więcej godzin u nas. Taką, powiedzmy, ćwiartkę etatu – powiedział, dziwiąc się, czemu wpadł na ten pomysł dopiero teraz. – Zakupy, sprzątanie, pranie, prasowanie. No i regularne gotowanie obiadów, oczywiście...

Wysłuchał w skupieniu jej pytań.

– Stawkę oczywiście możemy negocjować – zapewnił. – A co do czasu... – Ze zmarszczonymi brwiami dokonał w myślach krótkiej kalkulacji. – To pewnie będzie tak ze dwie godziny dziennie – zawyrokował.

Odetchnął, gdy się zgodziła, wrócił do kuchni i nastawił garnek z wodą. Wyjął z kieszeni mocno już wymiętą kopertę. W lewym górnym rogu widniała mała naklejka z wydrukowanym adresem nadawcy: *Dr Bogna Grocholska, Invärtesläkare, 72 Annebodavägen, Stockholm.*

„Odpisała!” – pomyślał znowu ze wzruszeniem.

W tej chwili woda zaczęła się gotować, więc wyciągnął z zamrażalnika dwie paczki pierogów, pomedytował chwilę, po czym spod warstwy szronu wydobył jeszcze jedną. Franek ostatnio zaczął rosnąć i miał wilczy apetyt, dzień w dzień wymiatał lodówkę do czysta.

„To dobrze, niech chłopak je!” – pomyślał, energicznie rozpruwając nożem torebki i wrzucając ich zawartość do wrzątku.

Zamieszał drewnianą łyżką, a potem usiadł, wracając do listu. Wreszcie zaczął czytać.

Drogi Maksymilianie!

Dużo czasu zajęło mi oswojenie się z tym, czego się od Ciebie dowiedziałam, i dlatego dopiero teraz zdobyłam się

na odpowiedź. Musiałam ochłonąć, przemyśleć pewne sprawy, spojrzeć z dystansu. To już przecież prawie dziesięć lat, powinnam umieć zdobyć się na dystans. A jednak to wszystko nadal boli, jakby się zdarzyło wczoraj.

Najbardziej chyba boli dlatego, że Benedykt Petrycy był moim mistrzem. Niewielu jest ludzi, którzy prócz rozległej wiedzy dysponują tak wielką kulturą, obyciem, ale także zasadami moralnymi. Twój ojciec – przybrany, jak się niedawno dowiedziałam – wydawał się mieć wszystkie te przymioty. Promieniowała z niego dobroć. I to chyba ona najbardziej przyciągała młodych. Czasem wystarczyło jedno jego zdanie, a nawet spojrzenie. Nikt tak jak on nie potrafił przywrócić studentowi czy młodemu już lekarzowi wiary w siebie!

A Ty mi piszesz, że donosił. Między innymi na mnie. Że kłopoty, w które wpadłam, i które zaprowadziły mnie aż tutaj, do Sztokholmu, to jego вина. I że masz co do tego absolutną pewność.

Nie wiem ciągle, jak potraktować Twoje słowa. Najchętniej uznałabym, że to głupi żart, ale za dobrze Cię znam, by podejrzewać o takie dowcipy. Wiem też, że nie zamierzałeś mi sprawić bólu. Kierowałeś się zapewne dobrą intencją, chciałeś coś naprawić. A to, że zburzyłeś mój obraz świata, który był chyba zbyt idealistyczny, że zrzuciłeś z postumentu człowieka, którego niezwykle szanowałam, że od kilku tygodni nie mogę sobie znaleźć miejsca, a po nocach męczą mnie koszmary z przeszłości – to tylko skutek uboczny Twojej szczerości. Może za jakiś czas, gdy już rana trochę się zablży, będę potrafiła Ci podziękować. Bo na razie – wybaczone – ciągle nie mogę w to uwierzyć.

Czuję się jak dziecko, któremu brutalnie uświadomiono, że Święty Mikołaj nie istnieje. Chciałabym móc się obrazić – tylko na kogo? Na Ciebie? Z pewnością cierpisz jeszcze bardziej niż ja. Na niego? Przecież przeszedł już na drugą stronę, w miejsce, gdzie wszystko staje się dużo prostsze. Przedstawiłeś mi motywy, którymi się kierował. Nie mnie je oceniać. Jeśli jest Bóg – a z biegiem czasu coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że tak – On robi to za mnie.

Przyznam, że myśl o Bogu jest bardzo pokrzepiająca. Chciałoby się mieć świadomość, że ktoś za to zło zapłaci. Za cierpienie moje, Twoje i Benedykta. Kto nam zgotował taki los? Kto kierował tym wszystkim z za wygodnego biurka w wygodnym gabinecie? Mam nadzieję, że zostanie rozliczony z każdej nikczemnej decyzji i z każdego podłego czynu!

Moje życie ułożyło się na tyle szczęśliwie, że niczego nie żałuję. Nie mogę jednak przyjąć spokojnie tego, o czym mi powiedziałeś. Benedykt był kimś więcej, niż profesorem i kolegą z pracy. Był ideałem. A Ty ten ideał jednym swoim listem po prostu zniszczyłeś. Niech Ci Bóg wybaczy, bo ja na razie nie mogę.

Czytał ten list raz, drugi i trzeci, a litery coraz bardziej rozmazywały mu się przed oczami. Ostatnie słowa wstrząsnęły nim mocniej niż wszystko, co go spotkało od czasu radiowego wywiadu. Były po prostu druzgocące.

Wreszcie odłożył kartkę i tępy wzrokiem spojrzał na garnek z dziko bulgocącą wodą. Unosiły się z niego kłęby pary, spowijając kuchnię przezroczystą zasłoną. Przez chwilę wracał myślami do rzeczywistości, wreszcie zerwał się z miejsca

i zmniejszył płomień. Nie było już jednak czego ratować. W środku pieniała się i wirowała gęsta zupa serowa, w której pływały strzępy ciasta i kapusty, urozmaicone barwnymi plamami rozgotowanych truskawek. Nawet nie zauważył, że wrzucił do wody trzy różne rodzaje pierogów.



Bar mleczny Flisak na rogu Kościuszki i alei Krasińskiego był mocno zatłoczony, kolejka wiła się aż do wejścia. Doktor nie mógł opanować nerwowego spoglądania na zegarek. Za niespełna trzy godziny miało się odbyć spotkanie działaczy Unii Demokratycznej z Bronisławem Geremkiem, który przez jeden dzień gościł w Krakowie. Petrycy dowiedział się o tym przez przypadek, od znajomego, który się tam wybierał. Konstatacja, że nie dostał od kolegów zaproszenia ani nawet informacji na ten temat, dotknęła go, ale nie zdziwiła. Od czasu wywiadu radiowego, w którym wzywał do przeprowadzenia radykalnej lustracji, definitywnie utracił swą pozycję w partii, w której wielu działaczy było z gruntu przeciwnych takiemu posunięciu.

Studiując listę dań na drewnianej tablicy, zastanawiał się, jak ma dziś wybrnąć z sytuacji. Czy pójść bez zaproszenia i rozpętać dyskusję na jeden z najgorętszych obecnie tematów? Czy też darować sobie i udawać, że nic o spotkaniu nie wiedział? Czas upływał, a on ciągle nie potrafił podjąć decyzji. Wreszcie, po odstaniu swego w kolejce, zamówił cztery porcje ruskich pierogów oraz dodatkowo zupę pomidorową dla Franka i kompot dla Gabrysi. Z ciężką tacą dotarł do

stolika, zajętego wcześniej przez dzieci. Zaczęli pałaszować, nie zważając na głodne spojrzenia osób oczekujących na wolne miejsce. Ania, dla której zostawił w drzwiach kartkę z informacją, że są we Flisaku, nie nadchodziła.

„Może jest jeszcze na zajęciach” – myślał doktor, choć wcale nie był tego pewny. Równie dobrze mogła się już zacząć sesja. Nawet nie wiedział, czy córka nie miała dziś jakiegoś egzaminu!

Poczuł niemiłe ukłucie. Jakoś nie potrafi dogadać się z własnymi dziećmi. Jasek już od czasów liceum traktował go jak wroga, a w klasie maturalnej wyprowadził się nawet do Nowej Huty, do dziadka. Ania, jeszcze do niedawna oczko w głowie tatusia, po awanturze związanej z pamiętnikiem babci najwyraźniej nie mogła go ścierpieć. Dwójka najmłodszych, jak dotąd, nie stwarzała większych problemów...

„Ale oni też jakoś specjalnie się do mnie nie garną, nawet teraz, gdy na pewno brakuje im matki. Dlaczego?” – zastanawiał się doktor. Uświadomił sobie, że od kiedy wyszli z domu, nie zamienili ze sobą nawet słowa, jeśli nie liczyć kilku jego suchych poleceń.

Przerwał jedzenie i przyjrzał się uważniej swoim latoroślom. Gabrysia w ostatnich tygodniach mocno wyszczuplała, buzia się jej wyciągnęła i nabrała wyrazistych rysów.

„Jaka ona śliczna!” – pomyślał i sam się zdziwił, że dopiero teraz dostrzega w córce zadatki na piękną kobietę.

Franek przeciwnie, chowający głowę w ramiona, z wielkimi stopami i przydługimi rękami, przypominał na razie bardziej goryla niż mężczyznę. Ale w ostatnim czasie znacznie urósł, a potężny apetyt świadczył o tym, że młody organizm zbiera się do skoku.